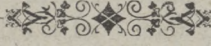


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

[25]

DLA DZIECI.



H. Lidner

Podróż na górę Ś-gó Gotarda (Drzeworyt ten nie był umieszczony przez pomyłkę w Nr-ze 25 na str. 396).

Z ŻYCIA PENSYONAREK,

OPOWIADANIE W LISTACH.

Kochane siostrzyczki!

Wyobrażam sobie z jaką niecierpliwością oczekujecie teraz *Wieczorów Rodzinnych*, odkąd Jazdi przyszła myśl, żebym za pośrednictwem tego pisma do was się odzywała. Ja przyznam się że nie wielką miałam nadzieję, aby redakcja *Wieczorów* na nasze zamiary przystała, ale przyrzekłszy wam że próbować będę, musiałam już przecież próbować.

Jak tylko pani Justkowska odwiozła mnie do pani Janickiej na pensyą, zaraz w chwilach pierwszego jeszcze poświęconego nieładu, zanim tu wszystko w zwykłe karby wejdzie, ponieważ tymczasem jest najwięcej czasu, opowiedziałam pannie Luizie tej pocziwój naszej Niemce, o której wam nieraz mówiłam, nasze układy i prosiłam jej żeby poszła ze mną do Redakcji *Wieczorów*. Panna Luiza także wątpiła czy *Wieczory* zgodzą się służyć nam za pocztę, ale poszła ze mną do redakcji.

Redakcja ta nie jest wcale, jak to sobie nasza sześćcioletnia Józia wyobraża, jakimś ogromnym gmachem, pełnym od piwnic do dymników strasznych, syczących i huczących maszyn, a z którego okien, drzwi, kominów i wszystkich otworów, wylatują na świat *Wieczory Rodzinne*, jak gęsty śnieg, a ludzie, stojący naokoło zbierają je i chwytają, jak gruszki z drzewa spadające. Nie, weszliśmy do sporęj wprawdzie kamienicy, ale nie w nią nie huczało, tylko policyant w bramie gniewał się na stróża, za to że ulicy nie polał wodą; zadzwoniwszy do drzwi redakcji i wszedłszy do pokoju, nie zobaczyliśmy ani jednej maszyny.

Panna Luiza opowiedziała pani która do nas wyszła, powód naszego przybycia, a owa pani pomyślawszy trochę powiedziała, że jeżeli ja potrafię opisywać trzem młodszym siostrzyczkom moją pensyonarską dolę tak zajmująco, że opis ten je zaciekawi, to zaciekawi on prawdopodobnie i inne małe panienki, a w takim razie *Wieczory* chętnie będą te moje listy do siostrzyczek drukować. Dodała owa pani, że szkoda iż tam u was także jakie pismo dla dzieci nie wychodzi, bo i wy mogłybyście też w nim listy znów do mnie zamieszczać i tak rozmawiałybyśmy się drukiem.

Ta pani śmiała się z nas trochę, ale naprawdę potem zachęciła mnie do napisania listu, choćby na próbę. Powiedziałam w rozmowie jakoś przypadkiem, że tatko też śmieje się z naszych literackich zamiarów i wygadałam się wcale niepo-

trzebnie doprawdy, że on literatek nie lubi jak wszyscy panowie, a ta pani spytała, czy i z Hoffmannowej się śmieje? i czy jej także nie lubi? Na to odrzekłam żywo, że wcale nie, że owszem świeżo mi kupił tatko dzieła Hoffmannowej.

— To widzisz kochanie — odpowiedziała ta pani — starajże się być pod każdym względem podobną do niej, albo lepszą jeżeli podołasz, a z pewnością nikt się z ciebie śmiać nie będzie. A gdyby nawet i zdarzyli się tacy, którzyby się śmieli, to możesz śmiało na takich nie zważać, gdyż byłiby to ludzie lekkomyślni.

Wróciwszy na pensyą, idę prosto do naszej sypialni, ażeby jak zwyczajnie schować kapelusze, okrycie i rękawiczki do małej szafki wspólnej mojej i Emci, która to szafka w głowach naszych łóżek stała, mojego i Emci, spoglądam, szafka stoi i łóżka stoją, na jednym nawet pościel już leży, ale nie moja, a na drugim niema pościeli, bo Emcia jeszcze ze świąt nie przyjechała. Cóż znaczy ta obca pościel na moim łóżku? myślę sobie, patrząc gdzie klucz od szafki którego niema w zamku, a wtém wbiega Petronela, młodsza, ta o której wam mówiłam i powiada:

— Nie tu, nie, teraz panna Skalska będzie sypiać tylko na górze — i rzuciwszy pościel Emci na jej łóżko, wybiega napowrót. Mnie serce zaczęło bić gwałtownie, bo najprzód na widok pościeli zrozumiałam, że Emcia w tej chwili właśnie przyjechała, a potem dowiedziałam się, że jestem wyrugowana z jej sąsiedztwa w sypialni i w szafie, żeby dowiedzieć się, dla czego jestem wyrugowana na górę, kiedy ja tej góry nie cierpię!

Ale piszę wam o sypialniach i o górze, której nie cierpię, a nie wiem czy wam kiedy opowiadałam o rozkładzie i urządzeniu pensyi, na którą drugi rok już jestem oddana. Muszę przeto objaśnić że pensya nasza jest liczną i zajmuje całe pierwsze i całe drugie piętro dużej kamienicy. Na pierwszym mieszka w jednym niewielkim pokoju przełożona, a obok jest duży salon, w którym się wszystkie często zbieramy na wysłuchanie tych moralów, nauk i przepisów do całej pensyi się odnoszących, o których wam nieraz wspominałam, i doroczne popisy tam się odbywają. Obok salonu są klasy, a po drugiej stronie trzy pokoje, w każdym z nich stoi jedno przy drugim, byle przejść między niemi można, ośm łóżek, a dziewięć nauczycielki; po kątach stoją szafki i komody, które na wspólną należą zawsze do dwóch uczennic. Na górze, to jest na drugim piętrze, znajduje się więcej takich sypialni, w których prawie w każdej, tak jak i u nas, jest jeszcze fortepian. Kuchnia jest o parę schodów niżej od pierwszego piętra,

w jakiśs przybudowanej oficynie. W trzeciej sypialni, na pierwszym piętrze, sypiamy wśród innych my z Emcią.

Emcia, jak wam to nieraz powiadałam, oddana została na pensję w jednymże czasie ze mną, jest to najserdeczniejsza i najweselsza pod słońcem dziewczyna, pokochałyśmy się więc odrazu szalenie i zostałyśmy przyjaciółkami od serca. Jedynym naszym celem było nierozłączać się z sobą, nad którym to celem pracowałyśmy obie różnymi sposobami i prośbą i podstępem małym, aż doszłyśmy do tego, że siedziałyśmy obok siebie na ławce szkolnej i sąsiadowałyśmy z sobą w sypialni i szafkę miałyśmy wspólną, choć z początku na dwóch końcach klasy i w innych umieszczono nas sypialniach. Wyobraźcież sobie teraz moje przerażenie, kiedy za obecnym powrotem od was dowiedziałam się, że znowu nas rozdzielono. Biegnę bez namysłu do przełożonej, a wtém w przejściu spotykam Emcią w tej chwili przyjeżdżającą, rzucamy się obie w objęcia:

— *Rozsadzają nas!* wiesz! — krzyczę ja, bo tak się to u nas między pannami nazywa.

— Co? zobaczmy! zaraz ja się do tego wezmę! — krzyczy Emcia i biegnie dalej w prawo, a ja w lewo, a wtém z obu stron wypadają na nas panny hurmem i dzwonienie słychać od klas:

— Do salonu! do salonu! porządkiem! klasami! parami! — wołają nauczycielki, przeciskając się pośród naszego tłumu i ustawiając, przyczém tam na końcu, ze wstępniakami zwłaszcza, ogromną mają zawsze robotę. Wchodzimy do salonu jak zwykle i stajemy, szósta klasa, to jest najwyższa w końcu pod ścianą, potém piąta, czwarta, coraz niżej i bliżej środka salonu, aż wstępniaki małe stoją już na środku; ale że wzrost i zdolności i pilność nie zawsze idą w parze z wiekiem i z sobą, przeto tu i owdzie między wstępniakami i pierwszą klasą, wystrzela duża tęga panna, jakby nasza mama, a znów pomiędzy dużemi szóstoklasistkami pod ścianą, zdaje się tu i owdzie jakby kogoś bracko, a to takie malce szósto i piątoklasowe tam w tłumie stoją.

Przełożoną z kilku domowemi nauczycielkami siedzi w drugim końcu salonu z papierem w ręce, i po krótkim przywitaniu nas przy rozpoczynającym się kwartale, rozpoczyna odczytanie zwykłych przepisów pensyonarskich, dla wiadomości nowych uczennic, a przypomnienia ich dawniejszym, ale te mojem zdaniem nie są koniecznie potrzebne, bo są to tylko zwykłe prawie przepisy, obowiązujące każdą dobrze wychowaną pannę, które każda zna dobrze, zanim ją na pensję oddadzą; że zaś z szeregu na przechadzce nie trzeba wychodzić, że zgodnie żyć trzeba z koleżankami itp., rzeczy sto-

sujące się już do samej pensyi, to się już samo przez się rozumie. A jednak wszystko to jeszcze się od czasu do czasu pannom zebrany powtarza i co najdziwniejsza, bardzo często bywa jeszcze coś do przyganienia głośnego, nie licząc różnych nie głośnych napomnień codziennych. Tak to trudno nieraz bywa zastosować dobrze w czynie to, co się niby najdokładniej w teorii wie i rozumie. Tak nam to sama przełożona tłómaczyła właśnie i tym razem.

Po wysłuchaniu tych uwag i napomnień i przepisów, że kokard nie rozdawano jako na początku kwartału, odeszłyśmy porządkiem. Bo na takich zebraniach i kokardy przypinają do ramienia uczennicom, odznaczającym się pomiędzy innemi, tak w postępach w nauce, jak i w innych codziennych domowych sprawach. Zaledwie wyszedłszy i wydostawszy się z szeregu wróciłam natychmiast do przełożonej, która już w swym pokoiku sama jedna nad jakimś rachunkiem siedziała. Opowiedziałam jej z czém przysłam i prosiłam, aby nie robiono nam przykrości, rozdzielając mię z Emcią.

— I to ci jest przykre, że cię na górę odsyłam? — spytała jakby zdziwiona — a przecież powinna byś być zadowoloną z tego raczej, bo wszystkie wiecie chyba, że na górze pod okiem nauczycielek sypiają panienki tylko takie, które ja już znam i w których, dla dobrych ich zasad, zaufanie pokładam, tu zaś jak najbliżej siebie trzymam trzpiotów, albo nieznanę mi jeszcze do gruntu uczennicę. To na co się skarżysz, uważa się u nas jako odznaczenie.

— Bardzo też jestem... jestem wdzięczna... powiedziała, nie dobrze wiedząc, co mówię, bo się zawstydziłam — ale gdyby Łazowska była też przeniesiona ze mną na górę.

— Nie, — rzekła przełożona — Łazowska nie jest z tych panienek, z których zadowoloną jestem, jakkolwiek nie wątpię że z czasem polepszą się nasze stosunki, bo o ile wiem i ona podobno ze mnie niezbyt jest zadowolona, tymczasem muszę ją mieć jak najbliżej przy sobie. Zresztą nie stracisz na zamianie sąsiedztwa, bo będziesz miała za sąsiadkę, współwłaścicielkę szafy i towarzyszkę do „pary“ na przechadzce, pannę Kolską.

— Co! tę pedantkę! — krzyknęłam ze łzami, zapomniawszy się zupełnie ze zmartwienia, bo inaczey nigdy w życiu nie byłabym tak krzyknęła i nie byłabym nazwała Kolskiej pedantką, jak ją zawsze nazywa Łazowska i ja też, ale tylko między sobą. Przełożona spojrziała też na mnie zdziwionemi oczyma, ja się zaczerwieniłam po skronie, a ona rzecze:

— Proszę mi powiedzieć, co znaczy wyraz pedantka?

Gdybym mogła, gotowam była połknąć na powrót ten nieszczęśliwy wyraz, bo to najszkarsza rzecz, jak się tak coś człowiekowi nie chcący wyrwie, czego się starsi chwycą i każą to sobie tłómaczyć, aż się pokaże że się powiedziało jakąś niedorzeczność, którą się ze słyszenia powtarza ale się jój nie rozumie. Poczułam odrazu, że właśnie w takim byłam wypadku, ale już owego słowa cofnąć nie mogłam, a zła byłam na siebie samą okrutnie, że zdarzyło mi się to właśnie w chwili, gdy mię to niby jakaś spotkała pochwała. Nie było jednakże co robić, tylko odpowiedzieć:

— Pedantka... no... no, to taka jak panna Kolska, co dorosłą pannę i mądrą, i poważną udaje... — powiedziałam tedy jak myślałam.

— Nie zupełnie tak to jest — odrzekła przełożona — najlepiej ile razy chcesz użyć wyrazu jakiego, którego dobrze nie rozumiesz, wziąć słownik właściwy i poszukać w nim tego wyrazu. Nieraz wam to już mówiłam.

— Jakto słownik właściwy? — spytałam zdziwiona.

— To jest słownik tego języka, z jakiego pochodzi wyraz, nie zupełnie dobrze ci znany, — była odpowiedź — na ten raz n. p. ponieważ wyraz *pédant pédante* jest francuzki, proszę zatem wziąć ten oto ze stolika słownik francuzki i poszukać w nim wyrazu *pédant*.

Oczywiście wzięłam wskazany słownik i szukałam okrutnie długo, ponieważ w głowie mi szumiało i w oczach aż pociemniało ze wstydu. Bo może wy, moje siostrzyczki, nie zupełnie nawet rozumiecie, jako bardzo młodziutki, ile przykrości było dla mnie w tej sprawie. Przełożona istotnie po wiele już razy ostrzegęła nas, żeby nie używać wyrazów których znaczenia nie rozumiemy, bo to jest właściwością papug, a ludzi naraża na śmieszność i przykrość, prócz tego zakazane też mamy mieszanie obcych wyrazów w rozmowie do naszego języka i wymaganém jest, aby mówiąc codzielnym językiem, mówić każdym czysto i gramatycznie. A otóż ja nietylko mówiąc po polsku do przełożonej użyłam tego nieszczęsnego wyrazu *pédantha*, ale nawet jak się pokazało, nie wiedziałam że on był nie polski, chociaż na prawdę ja nawet to i wiedziałam, bo któżby nie wiedział, tylko tak jakoś nie zastanowiłam się nad tém co mówiłam na razie.

„*Pédant* bakałarz, *pédant* zarozumiały o swojej nauce, nudziarz, *pédante* zarozumiała, nudziarka“ — przeczytałam nareszcie ze słownika.

— Czy panna Kolska jest zarozumiała? — zapytała pani Janicka.

— O! to nie! zawołałam, bo właśnie Kolską wyśmiewała wesoła Łazowska i nie tylko Łazow-

ska, że gdyby jój w biały dzień zapytać czy słońce świeci? toby ona najprzód poszła sprawdzać tę rzecz w książkach, zanimby dała odpowiedź, tak nie ufała własnym wiadomościom.

— A więc nie można nazywać jój pedantką — odrzekła przełożona.

— Ale ona jest za to okropna nudziarka! — rzekłam ja, broniąc się tym wyrazem, który był także w słowniku.

— To nazywajciez ją nudziarką, jeżeli już koniecznie przezywać ją chcecie — była odpowiedź — bo tu przynajmniej słuszność macie w zarzucaniu jój, że bez końca w książkach i słownikach szpera i sprawdza, a to i ja przyznaję nie jest rzeczą zabawną, jak dla kogo przynajmniej. Ale musicie, panienki to nudziarstwo pannie Kolskiej wybaczyć z tego względu, że ona jakkolwiek urodziła się bardzo bogatą, przecież dzisiaj w skutku nieszczęść rodzinnych, jest ubogą zupełnie i kształci się na nauczycielkę, a to jój nudziarstwo o jakim mówimy, uczyni ją właśnie wzorową nauczycielką. I to musicie panienki wiedzieć, że panna Kolska już dziś od roku jest na koszcie swoim własnym, choć prawie taka młoda jak ty moje dziecko, a prócz tego ma siostrzyczkę swoją małą Kolską w pierwszej klasie i płaci mi za utrzymanie i siostry tej i siebie samęj, jedynie pracą swoją. A przecież sumiennie wyznać muszę, że ja zyskuję na niej więcej, niż na każdej z was moje panny, choćby najlepiej opłacanej gotówką, bo panna Kolska jak wiecie, zastępuje mi we wstępnej i pierwszej klasie dwie nauczycielki. Jakim sposobem ona temu wszystkiemu i własnej nauce podołać może? tego przyznam się ja sama dobrze nie pojmuję i dla tego staram się o ile mogę, sił jój młodych oszczędzać. I dla tego to właśnie obecnie daję jój ciebie za towarzyszkę kochanie, bo wiem, że jesteś zdolną i pilną. Gdyby więc przypadkiem, czy mała Kolska, czy która inna z małych, bo panna Kolska i korepetycyce daje, przyszła czasem o coś się panny Kolskiej poradzić i zapytać, to ty, kochanko, przecież wstępne i pierwszoklasistki objaśnić potrafisz i nauczysz, przez prostą miłość chrześcijańską, wszak prawda duszko?

Powiedzciez mi moje drogie siostrzyczki, co też ja mogłam na taką mowę przełożonej naszej odpowiedzieć? Oczywiście wypadało tylko ukłonić się i odejść i tak też zrobiłam, a byłam przytém okrutnie niezadowolona jakoś z siebie samęj. Idę więc powoli i niechętnie przez klasy, gdzie już po ławkach pełno panien siedzi, a gawęda aż szumi jak w ulu, bo lekcyi jeszcze niema, gdy wtém wpada na mnie biegnąca z przeciwnęj strony Łazowska i mówi pociągając mię w kąt na pustą ławkę:

— Gdzieżeś mi się zapodziała?

— Byłam u przełożonej — powiadam.

— No patrzcie ją, ja biegam po całym domu za nią, szukam, gonię, rozbijam się jak trzygrosze po woreczku, a ona sobie u naszej pani siedzi! Cóż to? może sesya była? może ty zdanie swoje dawałaś? patrzcie ją, ja przyjeżdżam, a ona sobie do pani Janickiej idzie na konferencyą! — tak po swemu prędko zaczęła trzepać Łazowska, ściskając mię co parę słów, wszystko prędko, że zaledwo mogłam chwilę czasu upatrzeć, żeby jej się wyłomaczyć.

— Chodziłam do pani Janickiej właśnie w naszą wspólną sprawę, prosić ją, żeby nas nie rozdzielano, — powiadam nareszcie, a na to krzyknie Łazowska, machając rękoma i załamując je i za głowę się biorąc:

— Jakto? to po to tam łąziłaś? o głowo do pozłoty! owieczko! gotowam ostatecznie zwątpić o tobie, jeżeli mając cię od kilku tygodni pod bezpośrednią opieką moją, nie zdołałam cię jeszcze choć trochę wykształcić, abyś się na świecie obracać umiała. Wszak powiedziałam ci że ja się wezmę do tego, pocóżes ty się wzięła i popsuła sprawę?

— Ale w cemże ją popsulałam? — rzeknę ja — wszak prosiłam tak samo jak tybyś prosiła — a na to zacznie mi znów kłaść w uszy Łazowska, robiąc przytém takie zabawne gesta rękoma, jakby mi naprawdę przez uszy w głowę co kładła:

— Ależ ja nie prosiłabym wcale tak wprost, ty głowo tępa! tykobym powoli, to przez jedną nauczycielkę, to przez drugą, robiła cicho ten interes! Raz poskarżyłabym się że mi niewygodnie, drugi raz że mię głowa z przeciągów boli, bo moje łóżko źle stoi, posprzeczalabym się z nowemi sąsiadkami, ot robiłabym rozmaicie, aż same nauczycielki dla świętego spokoju postarałyby się żeby mię ulokować jakbym chciała, jak to już robiłam w przeszłym kwartale. A chociaż sąsiadowaliśmy z sobą ledwo parę tygodni, a ja na to pracowałam od roku, to przecież zawsze postawiłam na swoim!

— A więc dla czegoż nie zrobić tego samego prędzej i prostszym sposobem, poprosiwszy o to przełożonej? — zapytałam.

— O gąsko, gąsko! — rzekła Łazowska, wzruszając litościwie ramionami — jakto, więc ty nie rozumiesz, że to właśnie ta twoja przełożona rozdziela nas naumyślnie i nie dla czego innego, tylko dla tego właśnie, żebyśmy z sobą nie sąsiadowały, żebyśmy nie przyjaźniły się z sobą?

— Żebyśmy nie przyjaźniły się z sobą? a i cóż to może komu szkodzić? — zapytałam zdziwiona. Łazowska podniosła znów ramiona i rzekła:

— Już na to ja odpowiedzi nie mam, i wątpię, czyby ją nawet ta pedantka Kolska w słownikach wynaleźć potrafiła; ale o tém mogę cię z doświadczenia zapewnić, gdyż jak wiesz, nie na jednej pensyi byłam i nie z jednego pieca chleb jadłam, że na wszystkich pensjach jednakowo przyjaźni pomiędzy pannami nie lubią i że każdej przełożonej taka przyjaźń, tak samo jak nasza przyjaźń naszej przełożonej, jest solą w oku.

— A to szczególne! i dla czegoż to? — zawołałam i zamilkłam nagle, przypomniawszy sobie, co właśnie niedawno w Wieczorach Rodziny o przyjaźni czytałam we wspomnieniu o pani Krakowowej, gdzie istotnie mówiono o przyjaźniach panieńskich, które tylko czas na próżne gawędy zabierają i dla tego nie lubione są od przełożonych. Ale przypomniałam sobie zarazem, że tam właśnie przyjaźń między Pauliną i Anielą które sobie w naukach pomagały za wzór stawiano i przyszło mi do głowy, czyby też rozdzielono mię z Kolską, tak jak rozdzielają z Łazowską, gdybym się i z Kolską poprzyjaźnić chciała? Co pomyślałam to zaraz powiedziałam Łazowskiej, a ona na to jak krzyknie na mnie:

— Toś ty taka! Toś ty przyjaciółki jak rękawiczki zmieniać gotowa? To idźże sobie do tamtej pedantki i zaprzyjaźnij się z nią, ja z tobą nie wdaję się więcej; ale wiedz, że jeżeli mi serce z żalu pęknie, to będzie z twojej przyczyny! — i obu pięściami pogroziła mi Łazowska do oczu, gdy w tém rozległ się głos dzwonka i głos panny Eustachyi razem:

— Panienci dość tego krzyku jak na jarmarku, proszę na miejsca! Uciszyło się nagle to co istotnie do jarmarku było podobne, bo było w tej sali z piętnaście takich par, jak my, albo trójek, albo czwórek, a każda krzyczała sobie swoje tajemnice na ucho, przez co taki straszny robił się bałas, że ledwo można się było porozumić. Zaraz też zaczęły się lekcy, choć to nie zupełnie jeszcze porządkiem idzie, zwyczajnie po świętach. Łazowska przez cały dzień odwracała się odemnie, ciągle mi przytém w oczy wehódząc.

Teraz wieczorem siedzę znowu w klasie ale już przy Kolskiej przy lampach, jak wszystkie, piszę do was ten list, drogie moje siostrzyczki, inne uczą się lub znowu gawędzą, tylko trochę ciszej bo sama pani Janicka chodzi po klasach, a panna Luiza siedzi przy nas. Kolska siedzi jak rabin nad stołem ksiąg. Smutno mi bardzo bez Łazowskiej, a na panią Janicką patrzeć nie mogę: trzeba serca nie mieć samęj, aby nie lubić tego, że ktoś się z kimś zaprzyjaźnia.

Do widzenia, a raczej do przyszłego listu.

Anusia.

HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW.

przez M. . a.

(Dalszy ciąg).

Z pospuszczanemi jakoś głowami, pod niemiłym wrażeniem, stanęli już krzyżacy *bracia* i stąd w podróznym szyku, gdy Wolfgang, jeden z dwóch dowódców podwładnych głównego wodza wyprawy, zbliżył się do tego ostatniego:

— Złe wieści przynoszę rycerzu! — rzekł powoli.

— Jakie? — krótko spytał rycerz-wódz.

— Dwóch z najdzielniejszych naszych ludzi, Hans i Walter, zginęli w nocnym najściu, — odpowiedział Wolfgang, jeszcze wolniej niż zazwyczaj, i uważnie patrząc rycerzowi w oczy.

— Franc! — krzyknął nagle rycerz na drugiego swego podwładnego dowódcę. — Ja sam pójdę w przedniej straży, ty pójdź z twoimi w tylnej, — i zwracając się do Wolfganga, rzekł dopiero:

— Nie mamy zbyt wielu ludzi, szkoda! czy pochowano ich po chrześcijańsku?

— Ja — rzecze zawsze zwolna Wolfgang — już zawiadomiłem was rycerzu zaraz po przegładzie porannym, że oni byli zabici i zwracałem waszą uwagę na dziwną tę rzecz, że zabici byli jakoby wielkim mieczem rycerskim, którymby ich ktoś płątnął zniecka, gdy pochyleni głowami ku sobie rozmawiali z sobą; tak trzeba było wnioskować ze sposobu w jakim ich siedzących i wzajem o siebie czołami wspartych znaleziono... Dziwna to rzecz zkądby wśród tutejszej dziczy wziął się taki miecz, a jeszcze dziwniejsza, jakimby sposobem dzicz ta mogła zabić w ten sposób tuż przy ognisku, gdzie wcale nie dostała się, dwóch chłopaków, którzy najskorsi zazwyczaj bywali do boju...

— Czy pochowano ich po chrześcijańsku? — powtórzył rycerz groźnie brwi marszcząc.

— Rycerzu! — powtórzył Wolfgang po swemu, udając że nie widzi tłumionego gniewu, jakim wrzał rycerz na jego przewlekłą gadaninę. — Powtarzam, że miałem już rano zaszczyt zawiadomić was o śmierci tych knechtów, a obecnie mam zaszczyt donieść iż oni zginęli: jakże więc mogę kazać schować to czego niema, ponieważ zginęło?

Przez chwilę zdawało się że rycerz wybuchnie dość długo hamowanym gniewem, ale przy ostatnich Wolfganga wyrazach, gniew ten zaczął się zamieniać w zdziwienie:

— Jakto? ciał tych zabitych knechtów niema? — zapytał.

— Niema! — odpowiedział krótko na ten raz Wolfgang, nie spuszczając oka z rycerza. Niepokój prawdziwy ukazał się w zdumionych oczach tego ostatniego. Rzuciwszy okiem na powóz i otaczający go konwoj gotowy do drogi, kazał Richartsdorff zaprowadzić się na miejsce, gdzie przed niewielu godzinami były jeszcze ciała dwóch knechtów, a obecnie pozostał po nich tylko ślad krwawy. Wolfgang wypełnił rozkaz ze znaczącym kiwnięciem głowy, jakby chciał rzec: Wiesz ty równie dobrze i lepiej niż ja, gdzie się prowadzić każesz. Przybywszy na owo miejsce koło wczorajszego ogniska, rycerz wraz z Wolfgangiem najściślej obejrzał miejscowość, różne potem robili domysły i przypuszczenia, przyczem Wolfgang baczną na rycerza zwracał uwagę. Odbyło się to chyżo, bo okoliczności nagliły i wnet zbrojny oddział dziwnie ponury, acz pokrzepiony mimo nocnej przygody snem i ranym posiłkiem, puścił się w dalszą podróż. Skutkiem wszakże poprzedniej rozmowy i poszukiwań rycerza z Wolfgangiem było to, że Wolfgang przy pierwszej do tego sposobności dał znak Francowi iż chce z nim tajemnie pomówić, a gdy tamten ni by przypadkiem znalazł się przy nim, objeżdżając konwoj dla pilnowania porządku, Wolfgang rzekł bardzo cicho i ostróżnie, aby ujść bacznego oka i ucha Richartsdorffa:

— Nie! *tamto* to *on*, ale *to*, nie *on* zrobił.

— Hm — szepnął Franc — ja myślałem że płątnąwszy tych dzieciaków, skrył potem ciała ich, aby ukryć ślad i miecza i siły, która zdradza go, bo oboje są niepospolite.

— Co on tam o to dba — odrzekł Wolfgang — czy to brak knechtów; jeszcze mu podziękują za to co dla dobra sprawy zrobił; ale czego on się tych dzieciaków bał, to prawdziwie nie wiem.

— Ale gdzie oni się podzielić mogli! — mruknął Franc. — Zgroza, że ich też po chrześcijańsku pochować nie można, i dziwna to rzecz; wszystkich to obeszło.

— Otóż to właśnie i Richartsdorffa obchodzi — odparł Wolfgang — i bardzo; podobno się nawet trochę zląkł, czy tutejsza dzicz na jakie czary przeciw nam ich nie pochwyliła...

— A wiesz, że i to być może! — rzekł przeżony Franc.

— A ja myślałem, czy ta pogańska dzicz nie chwyciła ich jeszcze dla czego innego...

— A cóżeś myślał? — pytał Wolfgang.

— Że porwali ich aby wyprawić sobie z nich ucztę! jak to opowiadają rycerze, że dzieje się wśród dziczy za morzami, gdzie jeszcze promień chrześcijańskiej wiary nie został przez nasz świętobliwy Zakon zaniesiony, — szepnął z cicha Franc.

— Dobrze, żeś mi to powiedział! — uderzając

się w czoło wykrzyknął Wolfgang — pojedę zaraz powiedzieć to rycerzowi, bo on już i tak bodaj czy nie dostrzegł że mówimy z sobą; może i nas za to ma płać po swojemu ochotę; bo za coby więcej tamtych płać, doprawdy nie wiem; Hans ciekawy był co w tym wozie z taką troskliwością wiezieny, a tak samo ciekawi są wszyscy, to i rozmawiał o tém Hans i nic więcej; jeżeli to ma być winą, to ten dumny rycerz, który albo milczy, albo rozkazuje głosem jak trąba, może zechce nas tu wszystkich tak popłać.

To powiedziawszy podjechał Wolfgang do rycerza. Ten wysłuchał bacznie nowych przypuszczeń o wypadku który wszystkich zajmował, podniósł głowę dumnie, rzucił surowe na oddział cały spojrzenie i rzekł głosem w istocie do głosu trąby potężnej podobnym:

— Że dwaj krnąbrni słudzy przestali żyć, to dobrze! że ciała ich nie otrzymały chrześcijańskiego pogrzebu, to źle! Ślubuję w pierwszym ujrzanym kościele odprawić nabożeństwo za ich dusze. Wracaj na twoje stanowisko bracie Wolfgangu! — Temi słowy rycerz dowódzca położył niejako pieczęć milczenia na zaszłym wypadku, a zarazem przyznawał się nieledwie do zabicia dwóch knechtów, pomimo że czuł doskonale niechęć ku sobie ogólną podbudzoną tém co zaszło. Bezwątpienia wolałby był aby pozostało to w tajemnicy, ale widząc że go odgadnięto, rzucił owe słowa niby rękawicę krzyżactwu podrzędnemu, którym chwilowo dowodził.

I wygrał. Kielkujący wśród oburzonego żołnierstwa bunt zamarł. Śmiałość i potęga gromowego huku odniosły zwycięstwo raz jeszcze nad kajającą się przed niemi pospolitą naturą ludzką. Krzyżactwo spuściło głowy i poszło dalej we wzorowym porządku i milczeniu. Myśl że co uczynił było dla dobra służby, dla tajemnych wyższych względów uczynionem, powstała na raz we wszystkich głowach i u niewinniła rycerza.

Trzeba wiedzieć że zgromadzenie rycerskie krzyżackie dzieliło się na wiele stopni, pomiędzy którymi były dwa główne, braci wyświęconych, czyli rzeczywistych kapłanów, których nigdy nie bywało dużo i tak zwanych *braci rycerskich*, czyli laików, stanowiących główny ogół krzyżackiego rycerstwa. Potem następowało kilka podrzędnych stopni zakonnych. Z tych głównymi byli *współbracia* i *bracia służebni*. Ci ostatni oczywiście równie jak i prości knechci, to jest najniższa służba klasztorna, która rzadko na wyższe wstępowała stopnie, byli stale służbą swą przywiązani do Zakonu, ale *współbracia* mogli niekiedy wcale świeckie prowadzić życie i pośrednio tylko należeli do zgromadzenia.

Mieli oni wielce pożądaną w owe czasy wojność przywdziewania w dniu świąteczne szat duchowieństwa, mogli nosić na piersiach krzyż zakonny i pewni być mogli że po ich śmierci, ich własnym kosztem będzie odprawione sute nabożeństwo załobne we wszystkich kościołach zakonnych za ich dusze. Za to wszystko krzyżacy otrzymywali od nich zapis, już to całego majątku, już części jego, lub wywdzięczano im się w inny sposób, stając się protektorami i obrońcami krzyżactwa po całym świecie. To też przypuszczanie ludzi nieraz zupełnie świeckich, do tak zwanego współbraterstwa, służyło Zakonowi jako źródło ogromnych bogactw i potężnego wpływu. Aby zrozumieć wielkość tych wpływów, dość powiedzieć że wiele głów koronowanych za zaszczyt sobie miało to przypuszczenie do współbraterstwa zakonnego.

W ten to sposób do Zakonu teutońskiego należał między innymi król rzymski Zygmunt, król duński Waldemar, król aragoński Alfons V, a co jeszcze ważniejsze, to że nawet *panie* koronowane przypuszczają raczył nieraz Zakon do tego współbraterstwa, jako współsiostry. Jedną ze współsiotr takich była np. małżonka rzymskiego i niemieckiego króla, Barbara. Takim to właśnie współbratem Zakonnym był rycerz Konrad von Richartsdorff. Zaś dwaj powładni jego dowódcy, Wolfgang i Franc, byli *braćmi służebnymi*, niższych wszakże stopni, na które się znów i to służebne braterstwo dzieliło; a reszta zbrojnego oddziału składała się już tylko z prostych braci służebnych i jeszcze niżej od nich uważanych, tak zwanych knechtów, co po polsku znaczy prostych *służalców*.

Wielki Mistrz wysyłając rycerza von Richartsdorffa, w wyprawie której ważność do nieskończoności w oczach jego podniósł, nie uznał przecież za stosowne zaopatrzyć go w orszak złożony z prawdziwych swych krzyżackich rycerzy, potrzebując ich do innej, w rzeczywistości ważniejszej wyprawy. Owóż z takiego postąpienia W. Mistrza wynikło przykre w wyprawie Richartsdorffa rozdwojenie, gdyż dumny, dzielny i wielu już rycerskimi godnościami zaszczycony rycerz, z góry i bardzo dumnie obchodził się z garścią zbrojnej służby, danej sobie do pomocy, a zaś ta służba jako ściślej zjednoczona z potężnym Zakonem i pyszna tém zjednoczeniem, mimowoli prawie mniej szanowała wielkiego rycerza *współbrata* Zakonnego, który znów nie był przecież monarchą żadnym, niżby była szanowała lada *brata rycerskiego*, to jest prostego, ale prawdziwego krzyżowca drugiego stopnia. Z rozdwojenia takowego wynikło więc już niejedno zajście pomiędzy wodzem i jego oddziałem i nieraz w czasie podróży wódz był zmuszony gwałtownie lub sztuką zażegnawać niechęć

swych podwładnych, tak jak to miało miejsce w poranku po nocy, w której zginęli Hans i Walter.

Z takich tedy okoliczności powstało chmurne usposobienie, w jakim tak wódz, jak jego orszak jechał tego dnia szeroką równiną, mając za jedyną pociechę to, że wydostali się już przecież z niebezpiecznych leśnych kryjówek. Jechali zamierzając właśnie stanąć na południowy spoczynek, bo słońce podniosło się już na najwyższy punkt drogi swój dnia tego, gdy ujrzeli znieca, szeroko rozlaną rzekę przed sobą, jakiej się tu wcale nie spodziewano. Przewodnik krajowiec zdziwił się nie mniej, acz podejrzliwy z wielkiej troskliwości rycerz, już i jego o znowę zaczynał podejrzawać. Wobec bardzo znacząco nachylenej przez jednego z braci gałęzi, gdy drugi trzymał już pętle, czekając tylko na Richardsdorffa skinienie, przewodnik zaklął się na ziemię i niebo, na wszystkie pogańskie i chrześcijańskie świętości, słowem jak tylko żądano, że ta rzeka była chyba dziełem siły nieczystej, ponieważ być w owym miejscu nie powinna i dnia poprzedniego, gdy on tędy przejeżdżał nie była! I że na temże miejscu wczoraj jeszcze, w głębi tej rozległej ale mało pogłębionej doliny, wił się zaledwo znaczny strumyczek, stary jak świat i nie stanowiący żadnej przeszkody w przebyciu, nawet dla dziecka kilkoletniego.

Na tę mimochodem zrobioną wzmiankę o strumyku, rycerz spojrział bacznie jeszcze raz na rzekę, a potem skinął, ale nie na dwóch braci służebnych z pętlą i gałęzią, tylko na swego własnego młodego giermka Fritza, jedyną przychylną mu tutaj rzeczywiście duszę. Giermek zeskoczył z konia, przystąpił i z jego pomocą zstąpiwszy z trudem z konia na ziemię, rycerz mimo potężnej zbroi, utrudniającej jego ruchy, począł osobiście a bacznie wybrzeża owę niespodziewanej rzeki oglądać. Jakoż bardzo prędko przekonał się że przewodnik nie kłamał. Nowopowstała widocznie rzeka, zaledwo w samym środku swoim miała stare, kręte, waziuchne, żółtym piaskiem i kamykami wyłożone koryto prawdziwe, po obu zaś jego stronach, pod szeroko rozlanemi w dolinie wodami, zieleniła się świeża trawa, kwiaty i kwitnące i rośliny wcale nie wodne nawet. Najoczywiściej wody bystrego strumyka bardzo niedawno zalały kwieciste łąk obszary.

— Dalej! w górę tej wody! Niema spoczynku! — zakrzyczał krótko rycerz, razem wrzaskliwy i milczący. I cała kawalkata posunęła się w nakazanym kierunku, zrozumiałwszy po odbytych wobec niej badaniach rycerza, myśl jego i zamiary. Teraz każdy rozumiał, że niespodzianie napotkana rzeka, była tylko sztucznie zatamowanym u dołu strumykiem, bystrym wszelako i że zatamowanie

to musiało nastąpić bardzo niedawno. Może nawet zaczęło się dopiero w owę chwilę.

Należało więc co prędzej udać się w górę strumyka, gdzie wody jego nie miały jeszcze czasu podnieść się i rozlać tak szeroko i głęboko, żeby powóz nie mógł przejść przez nie. Że zaś o powóz w przeprawie tej głównie chodziło, to było jasne, gdyż rozlana woda nie była przecież tak głęboką, by ogromni Niemcy w ciężkich zbrojach, zabezpieczających ich od porwania prądem, w najgorszym razie zgruntować jej i przejść nie mogli. Konie mogły tém łatwiej przepłynąć. Ale powóz, to jest „kolebka“ tak zwana, dość niska, a raczej delikatny niewidzialny podróżnik w niej jadący, któremu szkodziła nawet blizka kałuża i blizki ogień, nie mógł być na tę przeprawę narażonym. Czuli to wszyscy i przyspieszali kroku jadąc w górę rozlanych wód strumyka.

Jadąc, niespokojnie wszakże posyłało wzrok przed siebie, bo tam gdzie grunt się podnosił, gdzie woda coraz wężiej rozlana zapewne nie zdażyła podnieść się jeszcze, ukazywała się właśnie znowu gęstwina leśna, odcinek tej samej niebezpiecznej puszczy, którą podróżni dopiero co nie bez wypadków przebyli. A przytém i czas ubiegał. Pomimo że poświęcono obowiązkowi czas spoczynku południowego, przecież dolina długą była do przebycia wzdłuż strumienia, a konie zmęczone pod ciężarem żelaztwa zbrojnych wojaków, coraz wolniej jak na przekor postępowały.

Dzień miał się ku schyłkowi, strumień nie mógł się rozlać sam przez się, zasadzka obrachowana na noc i ów puszczy kawałek widoczny zdaleka, stawała się coraz oczywistszą; rycerz kipiał gniewem tłumionym. Nagle stanął.

— Odprządź konie! — krzyknął wskazując na powóz — kolebkę wziąć na ramiona, iść wbród! Żywo! — i sam zsunawszy się z konia, którego giermek pochwyił, stanął przed powozem w postawie wskazującej, że sam osobiście ma zamiar podtrzymać go swém ramieniem. Żywo spełniono rozkazy; niebezpieczna gęstwina była już niezbyt odległą, cienie wieczorne zapadały, woda znacznie węższa i mniej głęboka mogła być istotnie przebyta w sposób nakazany, bez niebezpieczeństwa dla delikatnego podróżnika. Gotowość wielkiego rycerza-dowódcy do służenia temu podróżnikowi osobiście, zamykała wszystkie usta któreby szemrać miały ochotę.

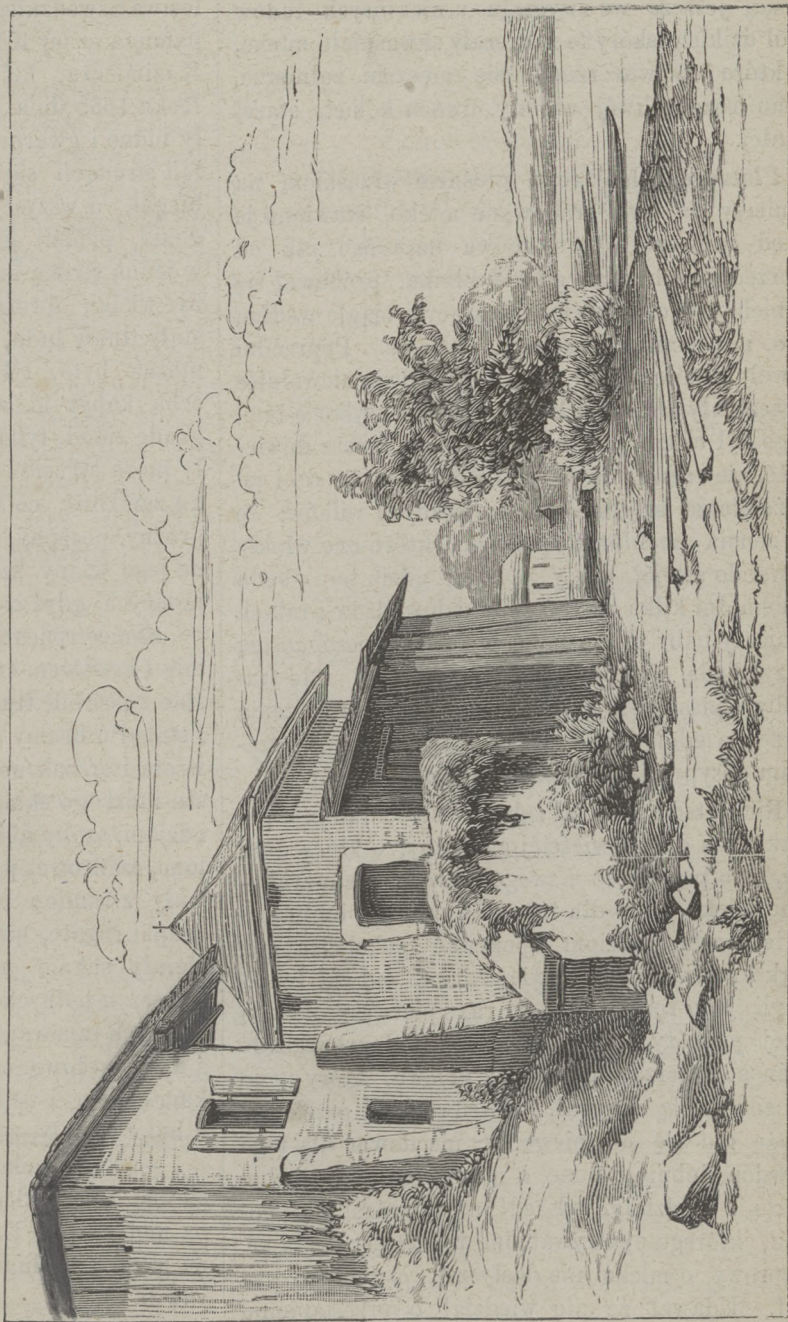
Istotnie, musiał ten powóz zawierać niesłychanie już nie tylko delikatną i drogocenną, ale i poczesną osobistość, kiedy taki von Richardsdorff, zaszczycony prawie wszystkimi rycerskimi dostojnościami rycerz, który otrzymał niepospolicie sławny chrzest rycerski, bo różne i chrzty rycer-

skie bywały, pielgrzym rycerski do Jerozolimy nareszcie, pan feudalny niemiecki, przytém z tych, którzy acz prości rozbójnicy, częstokroć niemniej byli dumni nad dumnymi, nie wahał się wziąć ten drogocenny powóz na bary swoje, jak prosty słuźalec, knecht. Prawda, że bary te były potężne i na niepospolicie wysokości wzniesione podstawie i zaraz też w tej rzeczy jak w każdej, okazał się niepospolity rozum rycerza, bo do współdzwigania z nim musieli przystąpić oczywiście też co najdorodniejsi z oddziału, przez co powóz był tęp wyżej i bezpieczniej po nad wodę wzniesiony.

— Szyk podróży! konie w rękach! — zakrzyczał znów swoim do trąby podobnym głosem rycerz, wstępując w wodę z ciężarem na ramieniu. I poszedł zbrojny oddział w wodę we wzorowym porządku. Już przebyto przeszło połowę przestrzeni niewielkiej, jeszcze w tęp miejscu wodę zalanęj, gdy usłyszano lekkie świnięcie w powietrzu i jeden z koni zarżał boleśnie. Rycerzowi natychmiast przyszło na myśl, że ukryty nieprzyjaciel strzały na przepływających się ciska. Lecz strzały nigdzie nie było widać. Niezadługo wszakże nowe świnięcie, nowy jęk, ale na ten raz ludzki nastąpił; jeden z oddziału został uderzony kamieniem w oko, a zanim pomiarkowano jeszcze, co się stało, już kilka podobnych pocisków dosięgło koni i ludzi. Rycerz, opuściwszy przyłbicę, był bezpieczniejszym, ale nie o niego tu jedynie chodziło. W miarę zbliżania się do przeciwnego brzegu, razy były coraz gęstsze i szkodliwsze, bo nieprzyjaciel, ciągle niewidzialny, dziwnie celnie trafiał dziwnymi pociskami najczęściej w oczy zwierząt i ludzi. Ból wydzierał z piersi zahartowanego przecież żołnierstwa jęki i klątwy zarazem, a niewidzialność nieprzyjaciela przerażała zabobonnych.

Nie mogąc ani wracać, ani się bronić, przyspieszono tylko przeprawę, idąc prawie na ośle-

w niepojęte niebezpieczeństwo, gdy nagle pociski ustały i oddział najspokojniej wyszedł na grunt suchy. Natychmiast i przedewszystkiem zaprząglszy znów konie do powozu, chciano oddalić się z niebezpiecznej okolicy, ale nawet sam wódz ujrzał niepodobieństwo natychmiastowej podróży



W Z Ó R D O R Y S U N K U.

bez opatrzenia rannych, zwłaszcza koni, z których wiele było prawie oślepionych. Pożywienie i spoczynek były również konieczne, a za ledwo się do tego zabierano, już noc poczyniała zapadać.

Jakkolwiek nie miano tu nawet nocować, ale tylko spocząć i dalej podróżować nocą, przecież

wódz nie zaniedbał wszelkich ostrożności używanych gdy nocować chciano; rozstawiono więc strażę i przepatrywano okolicę, przyczém schwytano starą, trzęsącą się niewiastę i małą dziesięcioletnią nędzną dziewczynę, i obie stawiono przed wodzem. Obie one wlokły na powiązanych łykiem gałęziach dwie skóry kozie, użyte jako naczynia, jak to jest dzisiaj jeszcze we zwyczaju u niektórych ludów w pół dzikich; skóry te zawierały skwaśniałe mleko, na które chciwie rzucili się zmęczeni żołnierze, mimo rozpaczliwej obrony dwóch kobiet, stariej i młajej.

Płaczące i łajające z głośnym wrzaskiem na żołnierzy za owo zrabowane mleko, stawiono je przed wodzem, a ten znowu napróżno jak od poprzednio schwytanego niewolnika, próbował się od nich czegośkolwiek o krążącym ciągle według jego mniemania Łokciu dowiedzieć. Poprzedni niewolnik milczał jak drewno, te dwie niewolnice wrzeszczały znów bez końca i miary i tylko o tém, czego był ciekawy, nie mógł się nic rycerz dowiedzieć, ale zresztą dowiedział się wiele: że on i jego żołnierze są gorsi od drapieżnych wilków; że ich ziemia pochłonie za mleko, które one wlokły ze wsi do swojej chaty w lesie, gdzie teraz będą głodem dni kilka marły; że takich wodzów i takich żołnierzy baby ukropie za pierwszą sposobnością parzyć będą i wyparzą do szczytu; że... Ale trudno by spisać wszystkie serdeczne miłe życzenia i przepowiednie tego rodzaju, jakimi stara z wrzaskiem obsypywała Niemców z pomocą młajej.

Richardsdorff zaciął zęby ze złości zaraz z początku, nie dla niewieściej gadaniny, o którą dbał tyle, co o piąte koło u swego powozu, ale o zrabowane mleko, a to dla tego, że zabronił on najsurowiej swym ludziom spożywać cokolwiekbądź z rąk krajowców w obawie czarów, oni zaś lekceważyli jego rozkaz, nie po raz pierwszy zresztą w tej podróży. To lekceważenie doprowadzało dumnego rycerza do szału z gniewu, który przecieź silną wolą ukrywał. Zaledwo więc przekonał się że nic się od niewolnic nie dowie, dla tego prawdopodobnie, że one o niczém coby go obchodziło nie wiedziały, odszedł natychmiast do powozu, którego opatrywaniem był zajęty, udając, że sprawy o mleko nie dosłyszał, czy nie zrozumiał. Udawał że nie wiedział o przestąpieniu swego rozkazu; tak postępować nakazywała mu powaga wodza; nie mogąc winnych ukarać jak miał ochotę, gdyż było ich za dużo, a on miał tu władzy za mało, wołał udawać nieświadomego przestąpienia rozkazu.

(D. c. n.).

PAMIĘTNE CHWILE.

Dnia 27 Czerwca r. 1655. Między morzem Bałtykiem a jeziorem Melar, na półwyspie skandynewskim wznosi się miasto Stockholm, stolica królestwa Szwedzkiego. Miasto to stare, dawne bardzo, pamięta czasy Karola Gustawa, owego wroga Jana Kazimierza, który tyle kłesk zadał naszej ziemi. Roku 1655 dnia 27 Czerwca ulice Stockholmu były ludne i gwarne, z drewnianych domków po obu ich stronach się wznoszących, co chwila ktoś wybiegał, a wszyscy zdawali się być jedną myślą gnani, pchani jednym celem, bo wszyscy dążyli w jedną stronę ku ulicy zamkowej. Tam tłok już był wielki; dwoma rzędami, zbite w jedną masę stały tłumy ludu, tak iż przez nie nic dojrzyć nie można było, tylko z pośrodku ulicy dochodziły echa kopyt końskich które uderzały o twardą grudę ziemi, tylko nad głowami tłumów powiewały pióra strusie i czaple. Snać jakiś orszak dążył ku zamkowi, co zdała na końcu ulicy wznosił się groźny, posępny, na niewielkiem wzgórzu; kamienne jego ściany szare, zimne, nie nęciły widocznie jadących, gdyż orszak posuwał się zwolna, leniwie.

Słońce rzucało ostatnie swe promienie na ziemię i krwawem światłem oblało zamek, kiedy właśnie z pośród tłumów wysunął się orszak zbrojny i stanął u bramy zamkowej. Rozwarły się ciężkie wrota i orszak wsunął się na dziedziniec; dwudziestu ludzi go składało, a wszyscy byli wspaniale odziani; szuby aksamitne i sukienne czerwone, zielone, szafirowe, podbite sobolami lub lisami, spływały z ramion przyjezdnych; na głowach mieli czapki rogate, piórami ustrojone, z pod szub wierzgały suknie jedwabne, kosztownymi guzami spięte; u jednych błyszczały na piersiach rubiny, u innych szmaragdy u innych turkusy. Zsiadłszy z koni, mężowie owi skierowali się ku wschodkom kamiennym i wspięli się na nie, a szable jakie im u boku wisiały, zadźwięczały wojowniczo.

— Niebo pokoju jakoś nam nie wróży — ozwał się ten co przodem szedł i przystanąwszy spojrzął na niebiosy. — Krew dzisiaj w górze kto wie czy na ziemi nie długo jęj nie zobaczymy — dodał po chwili.

— Nie wróćcie tak źle panie Janie, — odparł idący za nim Naruszewicz — wymowni jesteście, może odwróćcie grożące nieszczęście.

— Daj to Boże — odparł uroczystym głosem Jan Leszczyński, wojewoda łęczycki. I z temi słowami skierował się ku drzwiom sieni pałacowej, a z tych przez otwarte podwoje do sali przyjęcia.

Przed kilku miesiącami Szwecya wypowiedzia-

ła wojnę rzeczypospolitą, podając za powód do niej, iż Jan Kazimierz tytułuje się nieprawnie królem szwedzkim. Nie chcąc kraju na wojnę narażać, Jan Kazimierz który w istocie jako syn Zygmunta III-go, dawnego króla szwedzkiego, używał jeszcze tego tytułu gdy podpisywał się, nie chcąc jak powiadam wystawiać kraju na pożogi wojny, wysłał poselstwo do Stockholmu i przez Jana Leszczyńskiego, wojewodę łęczyckiego, kazał królowi oświadczyć, iż tak kraj jak rzeczpospolita dla miłego pokoju wyrzekną się chętnie owego tytułu, niechaj tylko Karol Gustaw porozumie się w tym względzie. Ale król Szwedów który pragnął wojny gorąco i szukał oddawna do niej powodu, przyjął wyniosłe poselstwo; gdy Leszczyński z towarzyszami stanął, u stóp jego tronu i wypowiedział z czem przybył, Karol Gustaw oznajmił im, że napróżno się trudzili. Daremnie wymowny wojewoda przekładał, iż z powodu tytułu, do wojny przyjść nie powinno, że król i rzeczpospolita zgodzą się na wszystkie ustępstwa, byle zgodne z honorem narodu, król szydęczo patrzył na niego, a gdy skończył mówić, rzekł że do układów przystąpi chętnie, ale tylko w szyszaku i z szablą w rękę.

Nic nie wskórawszy poselstwo wróciło do kraju; wieścze były przecucia Leszczyńskiego: wkrótce krew zarumieniła ziemię polską; liczne hufce Szwedów najechały nasze wioski i miasta, szerząc wszędzie zniszczenie. Strach ogarnął wszystkich, bo nie dość że Szwedzi wkroczyli w granice nasze, jeszcze kozacy się zbuntowali i Rosya wojnę wypowiedziała; zwątpienie ogarnęło wszystkich prawie, oddano Szwedom Warszawę, Kraków i wiele innych grodów, król usunął się na Szląsk.

Nie wszyscy wszakże zwątpili, dwóch ludzi w najsmutniejszej chwili nie straciło wiary w moc Boga i w potęgę dobrej sprawy. Ludźmi tymi byli Kordecki i Stefan Czarnecki; oni uratowali ginący naród, oni go wydzwignęli z toni nieszczęścia. Odegnawszy od murów Częstochowy wroga, Kordecki podniósł zwątpiałego ducha braci i garnąc się poczęli pod chorągiew Czarneckiego, ci, co już stracili całkiem nadzieję i łączyć się wszyscy poczęli i wiara, nadzieja, zgoda, zbawiły naród. Wspólnymi siłami pokonano wroga, odebrano zajęte przez niego miasta i Kazimierz powrócił na tron, pokój zajaśniał znowu na naszej ziemi.

Teresa Jadwiga.

KTO WINIEN?

Jaś uderzył różgą lalkę
Siostrzyczki Anielki,
Aż się Azor zerwał z sofy
Na ów hałas wielki.

Leży lalka na podłodze,
Pies na różgę szczeka,
Jaś na boku, zamyślony
Patrzy się zdaleka.
Ej, Azorku, piesku miły,
Gniew twój rzecz dziecinna,
Serce Jasia winno szkody,
Różga nic nie winna. *)

Kukułka z nad Bzury.

Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Jakiegoż więc sposobu młody nasz uczonec chciał użyć dla wykonania swego przedsięwzięcia? Może pomiarów trygonometrycznych? wcale nie. Potrafiłby zapewne i tego dokonać, gdyż uczył się wyższej matematyki; ale miał na to daleko prostszy i łatwiejszy sposób. Wierzchowiec jego mógł zastąpić dokładny przyrząd mierniczy.

Pocziwe to zwierzę miało kroki tak jednostajne i regularne, że Hans mógł się na nie zupełnie spuścić pod tym względem. Ile razy jeździec zostawił mu wolę, koń zaczynał biedz pewnym, mierzonym krokiem i można było na pewno obliczyć, ile każdy z tych kroków wynosi, a także, ile ich na jedną minutę wypadnie. Nieraz już Hans używał tego sposobu, gdy chciał wymierzyć długość drogi, puszczał wodze wiernemu konikowi, wyjmował zegarek i nigdy go rachuba nie zawiodła

I teraz więc tak uczynił, pokazał towarzyszom godzinę na swoim zegarku, stanął na czele gromadki, koń ruszył wolnym kłusem, towarzysze puścili się za nim kierując się wprost ku górze. Młodzi myśliwi umilkli nie chcąc przeszkadzać przyrodnikowi, który musiał w każdym razie uważać dobrze na konia, aby się nie omylić w rachubie. Zrazu mieli wielką ochotę do żartów, lecz gdy po pewnym przeciągu czasu góra się wca-

*) Drzeworyt do wierszyka tego, umieszczony jest przez pomyłkę w numerze 25 na str. 393, w miejscu gdzie powinna być: podróż na górę Ś-go Gotarda.

le nie przybliżyła, odpadła im jakoś ochota do śmiechu.

Minęło pół godziny, a góra ciągle jednakowo wyglądała i *na oko* zdawało się że odległość jej nie zmniejszyła się bynajmniej i zawsze jeszcze wynosiła około półtora kilometra. Teraz nasi zarozumialcy pospuszczali nosy na kwintę, żaden się nie odzywał, a gdy po upływie drugiej półgodziny, konie zatrzymały się u stóp góry, nikt się nie zadziwił i nie zaprzeczał, słysząc wymówione przez Hansa stanowcze słowa:

— Ośm kilometrów i pół!

Ale Hans był zanadto wspaniałomyślny, aby miał teraz odplacić towarzyszom tąż samą monetą; nie naśmiewał się z nich ani pysznił z własnej przenikliwości, tylko patrząc im w oczy z łagodnym uśmiechem, powiedział to zdanie, któreśmy powyżej zapisali dla własnej nauki:

— Każda prawda bywa zazwyczaj przyćmiona sofistematem, prawdopodobniejszym daleko od samej prawdy.

XXXIV.

Poszukiwania i odkrycia na górze.

Powierzchnia góry, która zdaleka wyglądała zupełnie gładko, zupełnie inaczej przedstawiła się młodemu myśliwym gdy się do niej przybliżyli. Ogromne obłamy skał pokrywały całkowicie jej stoki, a całość wyglądała tak, jak gdyby ręce olbrzymów nagromadziły w tém miejscu jakiś potworny stos głazów.

Pomiędzy temi dzikimi głazami były jednak ślady roślinności; w szczelinach wyrastały rośliny o liściach mięsistych z rodziny kaktusów i wilczomleców, gdzieindziej wznosiły się większe drzewa o liściach podobnych do mirtu, rozlewających dokoła woń aromatyczną; drzewiaste aloesy okryte owocem koralowej barwy, cudnie odbijały od szarej granitowej skały.

Młodzi myśliwi wypoczęli nieco u stóp tej góry, potem jeden z nich podał myśl aby się dostać na jej wierzchołek. Nie była zbyt wysoka, ani zanadto stronna, na pierwszy rzut oka zdawało się że za kwadrans możnaby stanąć na szczycie, a cóż to za przepyszny widok musiał się ztamąd roztaćcać! Młodzieńcy nasi cieszyli się już naprzód, że obaczą odrazu taką przestrzeń kraju, jakiej za dni kilka przebyć nie zdołają. Przyszło im nawet do głowy, że udałoby się może wypatrzeć z tej wyniosłej strażnicy jakąś wygodną drogę, którąby się prędzej wydobyli z tych gór i wąwozów.

— Na górę! na górę! — wołali wszyscy; każdemu pilno było dostać się jaknajprędzej na wierzchołek, jedni chcieli się nacieszyć wspaniałym wi-

dokiem, inni a mianowicie Janek i Klaas, spostrzegli wielkiego ptaka wlatującego ponad górą i wielką mieli ochotę obaczyć go zblizka; zdało im się że to był orzeł, wnosili więc że tam gdzieś musiał mieć gniazdo na skale.

Przyrodnik ciekawy był bardzo roślin wystających wśród głazów, już ztąd nawet dostrzegł, że różniły się znacznie od tych wszystkich, które napotykał w dolinach. Szczególnie go zajmowały piękne drzewa o liściach mirtowych.

Myśliwi nasi zsiadli z koni, bo niepodobna było konno wspinać się na górę, wierzchowce więc związali wszystkie razem za trezle aby nie puciekały; tak zwykle czynili, jeśli w pobliżu nie było drzew, gdzieby je można było uwiązać. Pocziwie zwierzęta przyzwyczajone były do tego, żyły z sobą w przykładnej zgodzie i nie było obawy, aby który ugryzł, lub nogą kopnął towarzysza. Zgoda ta jednak nie dochodziła do tego stopnia, ażeby wszystkie razem chciały uciekać, a gdyby nawet pięć koni powzięło jednozgodnie ten zdradziecki zamiar, jeden rumak Hansa potrafiłby się oprzeć tym zamysłom i spisem w niwecz obrócić. Nieraz pan jego zostawiał go godzinami całemi nie uwiązując wcale, gdy zbierał rośliny po lasach i łąkach, a wierny konik zawsze najcierpliwiej na niego czekał.

Zostawiwszy więc gromadkę koni na łące, podróżnicy nasi zaczęli się wdrapywać na stoki góry. Musieli się przeciskać pomiędzy odłamami granitu i piąć się na głazy ogromne; niemało na to potrzebowali siły i zręczności. Chociaż wiedzieli już z niedawnego doświadczenia, jak łatwo jest uleść złudzeniom wzroku, jednak wszyscy oprócz Hansa byli pewni, że za pięć minut staną na szczycie stożkowatej podstawy. Ale nietylko pięć, lecz dzie sięć minut upłynęło, a oni jeszcze i połowy drogi nie uszli.

Zazwyczaj wstępując na wysoką górę doznajemy podobnego zawodu. Droga z pozoru wydaje się bardzo łatwa do przebycia, niepodobna dostrzedz odrazu wszystkich przeszkód i trudności. Hans jeden zapowiedział naprzód towarzyszom, aby nie spodziewali się stanąć na wierzchołku prędzej, jak za pół godziny. Niejeden miał ochotę zaśmiać się i zaprzeczyć, wszyscy jednak milczeli, bo obawiali się nowego zawstydzenia. W myśli więc tylko powtarzali sobie, że to się za pięć minut okaże.

W pięć minut zmienili całkowicie zdanie, a w kwadrans zaczęli wątpić, czy i za półgodziny skończy się męcząca droga. Zatrzymali się bo im tchu zabrakło, a młody botanik skorzystał z tego aby obejrzeć z blizka piękne drzewo, o którym wspominaliśmy już parę razy, gdyż właśnie

w cieniu tego pachnącego drzewa usiedli wszyscy na odpoczynek.

Pień jego niezbyt gruby i niezbyt wysoki podtrzymywał liczne, rozłożyste gałęzie, okryte małemi, bladezielonemi listeczkami, które z powierzchowności podobne były bardzo do mirtowych. Kwiateczki malutkie, niepozornie wyglądały, ale botanik pochwycił je z radością, gdyż mógł z nich rozpoznać, rodzinę drzewa, które miał przed sobą. Był to gatunek sandału, blisko spokrewniony z sandałem, którego szacowne drzewo sprowadzane jest z Indyj.

Każdy z naszych myśliwych widział nieraz różne drobne przedmioty wyrabiane z drewna sandałowego, nie wiedzieli jednak dokładnie, gdzie rośnie drzewo które je wydaje. Zapytali więc o to młodego przyrodnika, a ten udzielił im szczegółów następujących.

Drzewo sandałowe, należące do małej rodziny sandałowatych, rośnie przeważnie na wyspach archipelagu indyjskiego. Nie odznacza się wielkimi rozmiarami, pień jego nie bywa nigdy zbyt wysoki ani gruby. Drewno wysoko jest cenione dla przyjemnego aromatu, który mu nadaje trwałość niepospolitą i ochrania każdy przedmiot, przy niem leżący, od rdzy i szkodliwych owadów. Dla tego też robią z niego pudełka, skrzynki i mnóstwo podobnych drobnych sprzętów, a także piękne pachnące wachlarze i paciórki. Nakoniec kapłani indyjscy używają wonnego sandałowego drzewa do kadzenia w świątyniach.

— Zdaje mi się — rzekł Klaas — że jest chyba dwa rodzaje sandału; siostra moja ma pudełko i naszyjnik z takiego pachnącego drzewa które jęj stryj przywiózł w podarunku z Indyj. Pudełko jest białe, a naszyjnik ma piękną barwę żółtą; ale może te paciórki są farbowane.

— Nie — odpowiedział botanik — jest to barwa naturalna. Drzewo sandałowe bywa białe i żółte. Przez czas długi wyobrażono sobie że pochodzi z dwóch odmiennych drzew, ale to było mylne mniemanie. Jest w rzeczy samej kilka gatunków drzew sandałowych, lecz białe i żółte drzewo pochodzi z jednego. Część wnętrza pnia, zwłaszcza przy korzeniu, to jest najstarsza, żółknie z czasem, podczas gdy młode drewno przy korze ma barwę białą. Żółte jest twardsze, zapach ma silniejszy i wyżej bywa cenione. Pnie ścięte i ogołoczone z kory zakopują się zwykle w ziemię na parę miesięcy, to im nadaje mocniejszy zapach.

Słuchając tego opowiadania, myśliwi wyjęli nożyki z kieszeni, każdy zciął gałązkę z drzewa sandałowego, pod którym siedzieli, powąchał ją i do ust przytknął. Zapach był rzeczywiście przyjemny, ale smaku to drewno nie miało żadnego.

Hans im powiedział, że i sandał indyjski odznaczający się aromatem, nie ma jednak najmniejszego smaku.

Wytlómaczył jeszcze towarzyszom, że nazwa sandałów, obuwia używanego na wschodzie, nie pochodzi od sandału, ale przeciwnie drzewo od obuwia otrzymało swoje miano. Wyraz perski *sandal* znaczy pożyteczny, a ponieważ drewno sandałowe jest także bardzo pożyteczne, więc je przezwano tak samo jak obuwia. Na zakończenie Hans dodał, że drzewa innej zupełnie rodziny, rosnące na wyspach Sandwichskich, dostarczają pięknego drzewa, którego niepodobna odróżnić od sandałowego.

Młodzi myśliwi, wypocząwszy dostatecznie w cieniu sandału, puścili się w dalszą drogę i w kwadrans potém stanęli na wierzchołku góry.

XXXV.

Borsuk skalny.

Nie był to jednak właściwie wierzchołek; myśliwi nasi stali na owęj podstawie stożkowatej, która, jak wiemy, podtrzymywała jeszcze wysmukłą iglicę osobliwego kształtu.

Szczególny ten wyskok skalisty mógł mieć około dziewięciu metrów wysokości; boki były poszarpane, poorane bruzdami, tak zupełnie, jak gdyby je deszcz pospłukiwał. Cypel ten zwęzał się u góry, a przy zakończeniu nie mógł mieć więcej, jak trzydzieści centymetrów obwodu, po bokach zaś od dołu do góry był najeżony innemi zaostrozonymi iglicami. Całość zupełnie tak wyglądała, jak gotycka wieżyca, przyozdobiona mnóstwem pobocznych iglic.

Żaden z naszych myśliwych nie miał zamiaru wspinać się na tę stromą skałę; byłaby to zanadto niebezpieczna przeprawa, kot chyba lub ptak mógłby się na to pokusić. Przypatrzwszy się tęgemu geologicznej osobliwości, młodzieńcy zaczęli oglądać uważnie podstawę iglicy. Niełatwo ją było obejść dokoła, gdyż wszędzie zalegały ogromne głazy, przez które trzeba się było przedzierać.

Wtém nagle wzrok ich padł na przedmiot nowy, który całą ich uwagę pochłoniął. Na stoku góry, w połowie mniej więcej jęj wysokości, stercał ogromny kamień o cyplu zaostrozonym, który przewyższał znacznie wszystkie inne głazy, pokrywające jęj boki. Na cyplu tym siedział wielki ptak czarny, na grzbiecie tylko miał plamkę śnieżnej białości, pióra brunatne spadały mu na nogi, aż do palców, które się odznaczały jasno-żółtą barwą. Łatwo było poznać z całej jego powierzchowności i zakrzywionego dzioba, zaokrąglonego ogona z rozmiarów skrzydeł, pierzastych nóg, do jakiej rodziny mógł być zaliczony.

— Orzeł! — zawołali chórem myśliwi, jak tylko go spostrzegli.

Był to w rzeczy samej orzeł i to jeden z największych swojego rodzaju. Dwaj malcy, jak wspomnieliśmy wyżej, spostrzegli go byli, stojąc jeszcze u stóp góry. Ptak nie słyszał zapewne ani okrzyków, ani śmiechów wesołej gromadki, a może na to nie zważał, gdyż zajęty był widocznie jakąś ważną sprawą. Szpony miał zaciśnięte, jak kleszcze, na ostrój krawędzi skały, szyję wyciągniętą, wzrok w dół zwrócony, jakby czegoś tam wypatrywał z największym natężeniem.

Biała plama na czarnym płaszczu orła wybornie za cel służyć mogła, na nieszczęście siedział on za daleko, aby go kula dosięgła. William chciał jednak poprobować tej sztuki, miał bowiem nawiększą strzelbę, nie spodziewał się jednak, aby mu się powiodło. Przyrodnik go powstrzymał w zapale myśliwskim; sądził on, że ptak miał jakiś rabunek na myśli, i Hans nadzwyczaj był ciekawy, co to była za sprawa.

W tej samej chwili ofiara tych drapieżnych zamysłów wysunęła się z szczeliny skały, przy samej podstawie wielkiego głazu, na którym siedział orzeł. Było to małe zwierzątko czworonożne, sierść miało szarawo-brunatną jaśniejszą na piersiach i brzuchu, niż na grzbiecie. Podobne do królika, różniło się jednak niższemi nóżkami, krótkimi uszkami, było też nieco większe. Futerko jego puszyste, oprócz krótkiej sierści, miało jeszcze włos rzadszy, daleko dłuższy. Zwierzątko pozbawione było ogona. U nóg przednich miało cztery palce okryte twardym, rogowym kopytem, u tylnych trzy tylko, z tych dwa także uwiecznione w kopycie, a jeden ostrym pazurem opatrzony.

Pojmujecie, że młodzi nasi myśliwi nie spostrzegli tych wszystkich szczegółów w chwili, gdy zwierzątko pojawiło się przed ich oczyma; odległość była zbyt wielka, aby je mogli obejrzeć dokładnie, później dopiero Hans, który je poznał, opowiedział im to wszystko. Zwierzątko to niepozorne, jak słusznie upewniał przyrodnik, może być jednak zaliczone do najosobliwszych stworzeń na świecie.

Któżby się domyślał, patrząc na drobne jego kształty, sierść miękką, jedwabistą, nieśmiałą i łagodną minę, że jest w blizkiem pokrewieństwie z nosorożcem? Tak, w rzeczy samej, pomimo tak ogromnej pozorniej różnicy, znakomity naturalista Cuvier zaliczył je do rzędu gruboskórnych i dziś to zdanie jego przyjęte jest przez większą część uczonych.

Podobieństwo zasadza się głównie na kształcie zębów na budowie czaszki nóg i kopyt, różnice

jednak są uderzające i nie mamy odwagi upewniać naszych czytelników, że małe zwierzątko, zwane borsukiem skalnym, *hyrax* w języku naukowym, jest w rzeczy samej bliżej spokrewnione z nosorożcem i słoniem aniżeli z królikiem.

W każdym razie z obyczajów nie przypomina wcale tych gruboskórnych olbrzymów. Borsuk skalny żyje gromadnie; a nie zapominajcie, że nazywa borsuka całkiem jest niewłaściwa dla tego zwierzątka, chociaż najpospolicij bywa mu nadawana; trzyma się okolic górzystych i skalistych, ukrywa się w norach podziemnych i szczelinach skał, z których często wychodzi wygrzewać się na słońcu i szukać pożywienia. Porusza się nieśmiało, oglądając się podejrzliwie dokoła. Żywi się trawą i liśćmi, lubi szczególnie różne aromatyczne zioła. Przebywając wśród niedostępnych wyżyn, unika zwykle napaści zwierząt drapieżnych, ale często pada ofiarą żarłocznych ptaków, takich jak orły i sępy.

Przyrodnicy odróżniają dwa gatunki borsuków skalnych, jeden zamieszkuje w Abissynii i Syrii, drugi na Przylądku.

Jak wspomnieliśmy, wszystkie te wiadomości udzielone były naszym myśliwym przez Hansa ale nie w chwili, gdy zwierzątko wysunęło się ze swojej kryjówki w szczelinie skały. Młody przyrodnik nie miałby być na to czasu, gdyż zaledwie borsuk wyjrzał na świat Boży a za nim ukazały się główki kilku innych jego braci, już orzeł spadł jak strzała z wierzchołka skały i krzyk przeraźliwy ozwał się z miejsca, które ptak osłonił całkowicie szerokimi swemi skrzydłami.

Młodzieńcy sądzili że wznieś się natychmiast trzymając w szponach, borsuka ale zawiedli się, zwinne zwierzątka rozbiegły się, zanim nieprzyjaciel ich dosięgnął i schroniły się bezpiecznie w swoich kryjówkach. Orzeł musiał być pewny, że żadne już dnia tego się nie narazi na powtórna napaść, gdyż zatrzepotał skrzydłami, wrzasnął przeraźliwie i odleciał na drugą stronę góry.

XXXVI.

Giejza Afrykańska.

Nasi myśliwi wielką mieli ochotę zastrzelić orła w lot i wszyscy zaczęli się za skałami, ze strzelbami w ręku, ale ptak przeleciał za daleko, aby go strzał mógł sięgnąć. Musiał to być jakiś orzeł zgłodniały, szukający żywności, gdyż po tych niefortunnych łowach odleciał natychmiast; zapewne chciał gdzieś dalej na nowo zasiąść na czatach. Już wzniósł się wysoko w powietrze, rozwiniął skrzydła i puścił się w stronę, gdzie widniały

inne pasma gór, gdy nagle jakiś przedmiot wzrok jego uderzył, zatrzymał się i pilnie przypatrywał się zdawał.

Czyżby borsuki skalne znowu wyszły ze swojej kryjówki? Na to się jednak nie zanosilo, zresztą orzeł patrzył w inną stronę. Może wyszedł inną gromadkę tych zwierzątek? Byłoby to dość prawdopodobne, gdyby nie ta okoliczność, że orzeł zaczął zaraz krążyć ponad górą, zakreślając coraz węższe kręgi, jakby chciał z góry rzucić się na swoją zdobycz. Tymczasem orzeł nigdy w ten sposób nie napada borsuka skalnego, który jest nadzwyczaj zwinny i zręczny, więc nie dałby mu się nigdy pochwycić, gdyby go spostrzegł z daleka. Ptak musi się zakradać w sąsiedztwo jego podziemnej kryjówki i korzystać z chwili, gdy zwierzątko z niej wychodzi. Myśliwi widzieli właśnie próbki tych łowów.

Z pewnością więc w tej chwili drapieżny ptak inną zwierzyinę wypatrywał pośród skał. Hans siedział ukryty za wielkim głazem, na samym brzegu płaszczyny, wieńczącej wierzchołek góry, on też najpierwszy spostrzegł gromadkę zwierząt, które zwabiły orła napowrót.

Na stoku góry z tej strony rosło drzewo sandałowe, jedno z największych i najbardziej rozgałęzionych, a pod drzewem rozciągała się mała płaszczyna, nakształt tarasu. Taras ten tworzył prześliczne cieniste ustronie, gałęzie gęstym liściem okryte osłaniały je całkowicie od palących promieni słońca; Hans myślał właśnie o tem, jakby tam było przyjemnie wypocząć pod drzewem, spoglądając na rozległy widnokrąg dokoła.

Zdawałoby się, że i zwierzęta wybierają sobie na mieszkanie takie malownicze miejsca, możnaby naprzód odgadnąć, na której skale orzeł urządzi swoje gniazdo, w którym zakręci wężozu ukrywa się najchętniej jelen lub daniel, pod którym drzewem lubi wypoczywać. Takie miejsca zwykle i dla człowieka miewają urok niepospolity.

Niepodobna sobie wyobrazić tej góry wspaniałej, tego uroczego ustronia w cieniu wonnego drzewa, bez jakiejś istoty, któraby to malownicze miejsce ożywiła swoją obecnością i nowym przyrodziła wdziękiem. Inaczej krajobraz ten cały, pomimo swęj piękności, byłby martwą pustynią.

Lecz cień sandałowego drzewa nie darmo osłaniał taras. Hans dostrzegł wkrótce mieszkańców górskiego ustronia, i przypatrywał się z zachwyceniem wdzięcznemu widokowi, który miał przed oczyma.

Było tam troje zwierząt czworonożnych, wszystkie miały sierść jednakowej barwy oliwkowej, w żółte centki, wielkością się tylko różniły. Naj-

większe dochodziło wzrostu kozy domowej, a najmniejsze wyglądało zupełnie, jak młode kozłátko. Trzecie, mało co mniejsze od pierwszego, odznaczało się brakiem rogów. Łatwo było odgadnąć w tej trójce jedną zgodną rodzinę. Były to giejzy skaczące afrykańskie, *Oreotragus saltatrix*.

Hans je poznał odrazu, równie jak towarzysze, którzy się ostróżnie do niego zbliżyli; ten gatunek antylopy pojawia się w bliskości osad na przyładku wszędzie, gdzie tylko są góry, skały i kryjówki, niedostępne dla psów, hyen i strzelców.

Pomiędzy licznymi gatunkami antylop, które przebywają w Afryce południowej, giejza skacząca do osobliwszych może być zaliczona. Nie odznacza się wprawdzie okazałą powierzchownością, ale dziwne jej obyczaje wyróżniają ją wybitnie od innych antylop i od dawna zwróciły uwagę przyrodników. Nigdy jej napotkać nie można na równinach, gdzie pasą się antylopy krowie, kantarowane, pstrokate i inne zwierzęta przeżuwające. Giejza trzyma się wyłącznie gór, szczególnie lubi najdziksze okolice, niedostępne skały, unoszące się ponad przepaściami, gdyż tam jest zabezpieczona od napaści drapieżnych zwierząt. Lampart nawet, który jak kot drapie się po stromych wyżynach, nie może za nią podążyć. Giejza z taką zręcznością wspina się na najwynioślejsze szczyty i skacze po krawędziach skał, że żaden zwierz nie jest dla niej straszny, tylko drapieżne orły mogą jej tam dosięgnąć.

(D. c. n.).

Zadanie konikowe (L. W.).

Te	je	slod	ko	kwi	wio	wo	ki
wa	ma	roz	i	ka	ni	tle	sną
sto	ja	i	snę	ser	le	ci	nią
du	skie	ny	dzie	je	wio	się	świe
ja	się	z kim	ce	te	ce	wo	cho
wik	za	po	ro	ze	mo	zo	nie
bo	pa	cze	pa	se	wa	dzwo	dy
muz	slo	le	u	nią	sze	we	drze

SZARADA (Różia D).

Jedném „stań się!” Bóg cud spełnia,
Chaos w życie przyodziewa,
I tuż pierwszy świat zapełnia,
I cześć Panu w hymnie śpiewa!
I wykwita krasą wszelką,
Lotem myśli niebo trąca,
A w tém pierwszym my kropelką,
Wśród podobnych nam tysiąca...

* * *

Druga wstecznie, razem trzecie:
Krzew młodziutki z wierzb rodzaju;
Rośnie w lesie albo w gaju.
Wszystko imię — nie zgadniecie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go.

Niteczki Aryadny:

Na dolinie, u jeziora
Szumi gailk — kwitnie niwa,
Na modrzewiu słowik śpiewa
Od wieczora do wieczora.

* * *

Tam upływał czas mój miły,
Tam na różach kiedym śniła,
Pieśń słowika mnie uśpiła
I sny słodkie się roily.

(Bohdan Zaleski):

ŁamigłóWKI gŁoskowej:

Każda lizska swój ogon chwali.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Anto. J... w Niszowcach. Oba egzemplarze *Wieczorów* będą przesłane jak wskazano. Prawdziwa to dla nas radość gdy znajdziemy tak gorliwych czytelników, pochwały oddawane przez nich Pismu, są najmiłszą nagrodą za wszelkie trudy. Pochwalamy bardzo sadzenie rozdrębów i zasuszanie ziół, gdyż najlepiej korzystać można z dobrych myśli natchnionych czytaniem książki, jeżeli je się natychmiast wprowadza w wyknanie.

St. Paw... w Ekaterynsławiu. Odpiszemy później szczegółowo, tymczasem dziękujemy serdecznie za liściki i przesyłkę muzyczną.

Stasiowi i Zosi B. w Targówku. Nie mieliśmy jeszcze czasu sprawdzić zadania konikowego i łamigłówek, dziękujemy więc tylko za miłe liściki i ubolewamy nad bólem nóżki, pragnąc aby jak najprędzej przemięła. Szarada dobrze odgadnięta.

Helenie i Maryi Ap... w Dziankówku. Cieszymy się że powieść się podoba. Autorowie którzy pisują pod pseudonimem, czynią to zwykle dla tego aby nazwiska swe ukryć i z tej przyczyny wyjawiać ich niemożna.

P. Kazimi... Dob... w Kijowie. Żądana książka wysłana, za przesyłkę dopłaciliśmy kop. 20. — Odpowiedzi na rozwiązania zagadki wydrukują się później dla wszystkich.

P. Jarun...kiej w Białuszewie. Książki Olendorfa francuzka i niemiecka wysłane wraz z kluczem, równie jak i rozmowy niemieckie. „Nauka o ziemi“ Anczyca, wyczerpana. Wszystkie książki wraz z przesyłką pocztową kosztują rs. 5 kop. 75 — pozostaje więc reszty rs. 2 kop. 25. — Najlepszy słownik francuzko-polski i polsko-francuzki jest tak zwany: *ulożony przez emigrantów*, w jednym dużym tomie; kosztuje rs. 12.

P. Apolonii Sud... w Ustłabie na Kaukazie. Nr. 7 wysłany, na zapytanie pani odpowiadamy listownie.

Jagulce D... w Poznaniu. Z wielkiem zajęciem czytaliśmy szczegóły o najbliższej rodzinie naszej kochanej czytelniczki, również jak opowiadanie o przedstawieniu przysłowia zamieszczonego w *Wieczorach*. Tém więcej zajęły nas te opisy, że miły dla nas liściki kaligraficznie i ortograficznie napisany. Na rozwiązanie zagadki wszystkie odpowiedzi dane będą razem.

Karolci Gr. w Józkowym Rogu. Dziękujemy za przesyłkę, nie wątpimy że się przyda, lubo nie mieliśmy jeszcze czasu przejrzeć listów.

Do wszystkich naszych prenumeratorów.

Odbierając nieraz listy do Redakcyi zaczynające się od słów *Szanowny Panie* ponawiamy czynione już poprzednio ogłoszenie, że częścią literacką *Wieczorów*, kieruje pani M. J. Zaleska, ona zatem odpisuje zawsze na liściki i do niej adresować je należy, podobnie jak wszelkie przesyłki artykułów lub utworów muzycznych.

Sprostowanie. Na str. 393 poprzedniego numeru w wierszu pierwszym, przez omyłkę wydrukowano **ziola**, zamiast **zółta**.

Do utworu muzycznego danego w numerze 24 *Wieczorów* wcisnęły się następujące omyłki, a mianowicie:

1. W 3-cim taktie w basie, zamiast **c** na drugiej dolnej linijce, powinno być **d** pod pierwszą dolną.
2. W 5-m taktie w basie zamiast **g** na pierwszej głównej linii, powinno być **f** pod pierwszą główną.
3. W taktie 11-m w basie zamiast **h** na drugiej głównej, powinno być **g** na pierwszej głównej, tamże dodać i brakujące **g** pod piątą główną w basie.
4. W taktie 12-m w basie zamiast **d** nad pierwszą i **f** nad drugą górną, powinno być **c** i **e** na pierwszej i na drugiej górnej linijce.